

## Esej wspomnieniowy: Jak nie stałem się „kolegą z pracy” zabójcy ks. Popieluszki

[Fragment]

[...]

Cała historia miała swój początek w maju, podczas jednej z przerw w zajęciach zaocznych studiów na kierunku pedagogika kulturalno-oświatowa, gdzie w wyniku decyzji kierowniczkii mojego zakładu prowadziłem zajęcia z – obowiązkowego wtedy na wszystkich kierunkach pedagogicznych – przedmiotu „*Metodyka wychowania w ZHP*”. Moimi słuchaczami byli studenci, w znacznym procencie sporo ode mnie starsi, bardzo różnych zawodów i z licznych instytucji – w tym towarzysze z komitetów partyjnych niższego szczebla i funkcjonariusze MO. Jednym i drugim, aby mogli zachować swe stanowiska, postawiono wymóg ukończenia studiów wyższych – obojętne jakich.

W czasie jednej z przerw „na papierosa” (a byłem wtedy jeszcze „palaczem”) zagadnął mnie jeden ze starszych studentów, o którym wiedziałem tylko, że pracuje „na Lutomierskiej” (już wtedy mieściła się tam Wojewódzka Komenda, tyle że nie Policji, a Milicji Obywatelskiej) i że jest pułkownikiem. „*Jakie pan magister ma plany wakacyjne?*” – niewinnie zapytał. A ja, jak to mam w naturze, „*palnąłem szerze i otwarcie*”: – *Chciałbym pojechać do Szwecji, gdzie mieszka mój przyjaciel, ale nie mam paszportu i już nie zdążę go wyrobić.*

Na tym rozmowa zakończyła się. Ale tylko tego dnia...

Po dwu tygodniach, na następnym zjeździe, także podczas przerwy, ten sam pułkownik doszedł do mnie gdy stałem samotnie i zaczął skarżyć się, że ma problemy z napisaniem pracy zaliczeniowej jaką im zdałem, bo nigdy nie był w harcerstwie i nie ma czasu na szersze poszukiwanie i czytanie lektur z tej dziedziny. I że prosi mnie o dłuższą konsultację. Podałem mu termin dyżuru w zakładzie i zaprosiłem na ul. Uniwersytecką. Na to on stwierdził, że o tej porze nie ma szans wyjść na tak długo z pracy, i czy ja zgodziłbym się przyjechać do niego... Na moje „*Ale to niemożliwe, konsultacje tylko podczas dyżurów*” chwilę pomilczał i powiedział – „*Panie magistrze, przysługa za przysługę. Pan mi pomoże, a ja panu także pomogę – w otrzymaniu paszportu jeszcze przed początkiem lipca,*”.

I tak dałem się „skorumpować” obietnicą możliwości skorzystania z zaproszenia do Szwecji.

Umówionego dnia pojechałem na Lutomierską. Z dyżurki odebrał mnie jakiś młody człowiek po cywilnemu i poprowadził do windy, którą wjechaliśmy na jedno z wyższych pięter wieżowca, wchodzącego w skład tego kompleksu budynków. Wprowadził mnie do gabinetu, gdzie urzędował pan pułkownik. Pamiętam to pomieszczenie, umeblowane w najprostszy możliwy sposób: szara szafa pancerna jako mebel dominujący, dość duże biurko z dostawionym do niego stołem konferencyjnym – po dwa krzesła z każdej strony. Biurko właściwie puste, z dwoma telefonami i stojącą lampą. Pan pułkownik zerwał się z radosnym uśmiechem witając mnie słowami: „*Jak się cieszę że pan przyszedł. Proszę siadać, za chwilę porozmawiamy*”. Zauważyłem, że w tym czasie palcami prawej ręki manipulował czymś pod blatem biurka. Za chwilę drzwi otworzyły się i wszedł ten sam mężczyzna, który mnie tu doprowadził. Pułkownik zrobił dwa gesty: pierwszym dłońmi ułożonymi jedna nad drugą pokazał rozmiar półlitrowki, a drugim zakreślił prawą ręką owal na kształt półmiska. „Młody” wyszedł, kiwając głową, że wie o co chodzi.

Kolejną czynnością gospodarza gabinetu był komunikat, przekazany komuś z telefonu do rozmów wewnętrznych: „*Już jest, przychodź*„. Po chwili w drzwiach stanął mężczyzna w średnim wieku, który został mi przedstawiony jako jego zastępca. Nie trzeba było długo czekać, aby na stole pojawiła się butelka schłodzonej „czystej wyborowej”, 3 kieliszki i półmisek kanapek, obficie obłożonych szynką konserwową – w handlu dostępną jedynie za dolary lub bony w Pewexie.

Po pierwszych toastach pan pułkownik zagadnął: „*A ile wam tam płacą na tym uniwersytecie?*” Wymieniłem kwotę, której dziś już nie pamiętam, ale nie trudno zgadnąć, że pensja starszego asystenta nie była zbyt wygórowana. Panowie spojrzeli się na siebie i roześmiali. Przemówił pułkownik: „*Proszę pana! Mam dla pana propozycję. Proszę zostawić ten uniwersytet i przyjść pracować do nas. Na początek dostanie pan pensję dwa razy większą, a po dziesięciu miesiącach szkoły oficerskiej to już będzie pan zarabiał... Do tego jeszcze sorty mundurowe i dodatek na mieszkanie...*”

Zapadła długa chwila ciszy... Przebieg dalszej rozmowy spróbuję odtworzyć z pamięci w tym dialogu:

**Ja:** – Panie pułkowniku. Dziękuję za tak intratną propozycję, ale nie mogę jej przyjąć – z dwu powodów: Po pierwsze – bo jestem już za stary, aby jeszcze raz zaczynać jako najmłodszy w firmie. Jeśli się zgodzę, to wtedy ja będę tym, który zawołany dzwonkiem uruchamianym pod blatem pana biurka będę przynosił tu wódkę i zakąskę.

**Pułkownik:** – Ależ co pan mówi! Pan, z pana wykształceniem i doświadczeniem, nigdy nie musiałyby tego robić. A jaki jest ten drugi powód?

**Ja:** – Najważniejszy. Jestem wychowany w rodzinie katolickiej, ochrzczony, byłem u pierwszej komunii i miałem bierzmowanie. Normalnym dla mnie jest to, że to ja idę spowiadać się do księdza, ale nie wyobrażam sobie sytuacji, że to księża musieliby spowiadać się przede mną.

**Pułkownik:** – A skąd pan wie, że mój wydział zajmuje się klerem?

**Ja:** – Od pana.

**Pułkownik:** – Ja nigdy z panem o tym jakiego wydziału jestem szefem nie rozmawiałem!

**Ja:** – Wprost nie, ale pamięta pan mój wykład o metodyce pracy w Harcerskiej Służbie Polsce Socjalistycznej (HSPS)\*, w którym skrytykowałem decyzję władz zastąpienia symboliki i tradycji harcerskiej, mającej swe źródło w skautingu i zastąpienie jej wzorcami rodem z komsomołu? Dodałem wtedy, że władza nie potrafi wyciągać wniosków z najnowszych zdobyczy nauk społecznych – w przeciwieństwie do Kościoła, który w oparciu o nie stworzył Ruch „Światło Życie”, organizuje tzw. oazy i ma w tej działalności znaczące sukcesy. I wtedy pan był jedynym studentem, który podjął ze mną dyskusję, mówiąc, że ta działalność jest wroga Polsce Ludowej, bo kieruje nią ks. Blachnicki z RFN. To od tamtej chwili wiedziałem, że na pewno zajmuje się pon rozpracowywaniem kleru...

Zapadła cisza, którą przerwał pułkownik, zwracając się do swego zastępcy: „*A nie mówiłem ci, że to bardzo inteligentny człowiek?*”

Przez jakiś czas obj panowie próbowali jeszcze wpłynąć na moją decyzję o odmowie przyjęcia propozycji pracy w VI Wydziale łódzkiej Służby Bezpieczeństwa\*\* argumentami, których już

dziś nie pamiętam. W końcu poddali się i pułkownik zrozumiał, że nie dam się zwerbować. O pracy zaliczeniowej w ogóle nie było mowy, a przy pożegnaniu usłyszałem pytanie: „*Gdzie pan mieszka, bo nasz człowiek odwiezie pana do domu.*”

Jak powiedział tak się stało. Nieoznakowanym samochodem służbowym, którego nawet tablice rejestracyjne nie miały milicyjnych numerów, zawiózł mnie ów „nasz człowiek” pod blok w którym mieszkałem.

A na ostatnich w tym semestrze zajęciach mogłem wpisać w indeks pułkownika zaliczenie – wcześniej jakiś funkcjonariusz dostarczył mi jego pracę zaliczeniową. Ale nie tylko.

Przywiózł także druczek wniosku o paszport, który na miejscu wypełniłem i mu oddałem. Jako że nie miałem wymaganych fotografii – zapowiedział, że po tygodniu po nie przyjedzie. Po następnych dwu tygodniach ten sam człowiek przyniósł mi nowiutki paszport i w połowie lipca mogłem w Świnoujściu wsiąść na prom „Pomerania”, z którego w porcie Ystad zszedłem na szwedzką ziemię, witany przez moją koleżkę, która prze Malmö zawiózł mnie swoim samochodem do miejscowości Ekeby, niedaleko Helsingborga...

[...]

**Źródło:** <http://obserwatoriumedukacji.pl/esej-wspomnieniowy-jak-nie-stalem-sie-kolega-z-pracy-zabojcy-ks-popieluszki/>